

The background features a faint, light gray illustration of a woman's face in profile, looking downwards. A fountain pen is positioned diagonally across the lower half of the image, with its tip pointing towards the bottom left. The overall aesthetic is minimalist and elegant.

FeMYnizm

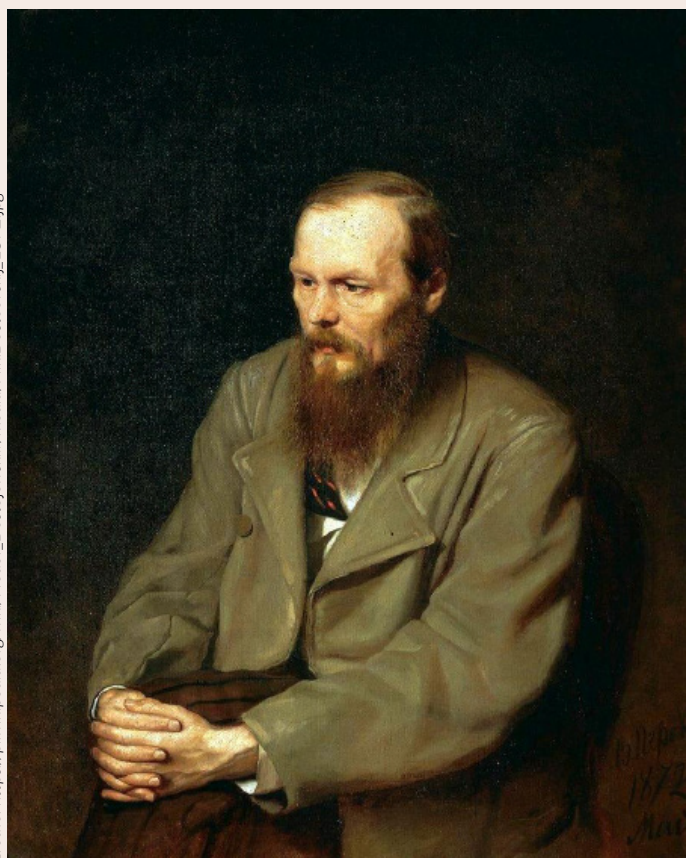
literacka podróż z aviomarinem

Co roku organizuję w swoim domu wegetariańsko – wegańską Wigilię dla przyjaciół. I co roku zamiast zrobić sobie przejrzystą listę na podstawie przepisów, podzieloną na działy i konkretne ilości, biegam pomiędzy półkami zygzakiem jak kibic Górnika Zabrze przez chorzowskie osiedla. I tak na przyprawach sobie przypominam, że jeszcze pomidory w puszcze, na warzywach, że jeszcze soczewica, a potem stoję pół godziny na środku najbardziej ruchliwego skrzyżowania nabiał-wędliny i myślę, gdzie u diabła mogę znaleźć owoce jałowca i co to jest kozieradka. W efekcie wracam z przeszło kilogramem marchewki, żadnego przepisu się z tego zrobić nie da i zaczynamy odmawiać zdrowaśkę, bo trzeba to przecież zjeść i ani chybi umrzemy z przedawkowania beta-karotenu.

Tak właśnie widzę siebie w „FeMYnizmie” Martyny Kaczmarek. Cała lektura jest dla mnie lustrem – choć zupełnie nie w sposób, jaki planowała autorka. Ile jest tu mnie, skaczącej przez kuchnię indyjską do kapusty kiszzonej! Tu skacze się po wszystkim i wszędzie: tematach, chronologii, statystykach, świecie. Po pierwszym oburzeniu z wszechobecnego chaosu, który wydawał się przecież uporządkowany w miarę prostym spisem treści, przyszła zupełnie inna refleksja – ta książka jest jednym wielkim entuzjazmem. Jest nogą, tupiącą do ulubionej piosenki, zanim jej właściciel zdecyduje się wyjść na środek i cóż, po jakimś czasie się okazuje, że życiowy parkiet bywa śliski. Człowiekiem, zachłystującym się radością z możliwości przekazania informacji. Tym naszym znajomym, który próbuje opowiedzieć pięć historii naraz, gubi wątki i łączy nagle zupełnie inne, ale my go słuchamy z rodzicielską cierpliwością, bo jesteśmy po trzecim piwie i wszystko naprawdę średnio do nas dociera. Niech mówi. Gorzej, jeśli kiedyś zapyta, czy pamiętamy jak mówił, że..., bo umówmy się – no ni cholery nie wiemy co mówił, poza tym, że coś.

Później zobaczyłam siebie jeszcze inaczej – siebie sprzed czterech lat, podczas pisania licencjatu. Omawiałam wyniki badań i za Kartaginę nie wiedziałam, jak opisać coś, co przecież już wrzuciłam na wykres, i szukałam wszystkich możliwych synonimów słowa „ankietowany”: a że badany, a że respondent, a że tyle a tyle procent odpowiedziało, struggle was real, pot na plecach i wzrok mojej prodziekanki, co to się śnił po nocach. I tak to męczyłam, miałam, próbowałam łączyć wyniki ankiet z wynikami wywiadów, znaleźć jakieś zgrabne przejście pomiędzy wypowiedziami narkomanów, dyrektora i grupy readaptacyjnej, aż w końcu rąbnęłam w laptopa i napisałam po prostu „według pozostałych”. Elo. Dawajcie ten dyplom i obiecuję, że nie będziecie musieli mnie więcej oglądać.

źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Fiodor_Dostojewski#/media:Plik:Dostoevskij_1872.jpg



I tym też jest „FeMYnizm”: spoconym studentem nad słownikiem wyrazów bliskoznacznych, który próbuje sparafrazować jeden tekst na osiemnaście sposobów. Książka Martyny jest debiutancka, dlatego próbowałam podejść do niej z dużym dystansem, traktując ją jak dziecko, które może nie jest do końca udane, ale powstało przecież na fundamencie miłości do tematu i dzikiej radości – przy czym nie da się jednak przejść obojętnie obok wyraźnego braku warsztatu literackiego. To jest dla mnie sporą bolączką, bo żal nieco ściska, że książkę może wydawać każdy, komu dziś nie brakuje pieniędzy. To, co budziło kiedyś podziw w pisarskim zawodzie – lekkość, płynność, umiejętność wydobywania i podkreślania piękna języka – dziś nie ma żadnego znaczenia. Bo co to za problem, jeśli umiem łączyć litery – umiem wydać książkę. Koniec dyskusji, można się rozjeść, Dostojewski patrzy pusto w przestrzeń, Prus smutno mizia się po wąsach.

Mówi się, że pierwsze zdanie jest zaproszeniem czytelnika, wrażeniem, po którym decydujemy, czy chcemy zostać z autorem. Stąd wielu pisarzy ślęczy miesiącami nad otwarciem i spędzają im sen z powiek pierwsze słowa, którymi chcieliby nas przywitać – tymczasem u Martyny nasza chaotyczna przygoda rozpoczyna się topornym wprowadzeniem, rozwaleniem sobie łba o szklaną szybę wystawy i rozczarowaniem na dzień dobry.

„Istnieją różne nurty feminizmu. Ja żadnego konkretnego nie faworyzuję, uważam, że każdy ma w sobie coś wartego uwagi, ale nie mam zamiaru Was przez nie tutaj przeprowadzać. Jest jedna, kluczowa zasada dotycząca «mojego» feminizmu: nikogo nie wyklucza.” – s. 10, „Wstęp”

Nie no, to całkiem w porządku, pozamiatane. O ile zamienimy podtytuł „Dlaczego potrzebujemy feminizmu” na „Dlaczego potrzebujemy mojego feminizmu”. Bo o samym feminizmie nie dowiemy się nic, o latach przemian i kolejnych nurtach, a przecież Martyna miała dla nas stworzyć encyklopedię, gotowe odpowiedzi na stale powtarzane zarzuty. Jak mogę odeprzeć argumenty nieprzekonanej strony, która

oskarżać będzie feministki o kontrowersję, skoro nic o nich nie wiem? Jak odparować rozmówcy twierdzącemu, że feministki to się nawet nie potrafią dogadać między sobą, skoro nie wiem o co nie potrafią i w zasadzie dlaczego? I najważniejsze: skoro stworzony został w publikacji niewielki słowniczek pojęć i znalazło się miejsce na FAQ, dlaczego zabrakło podstawowej terminologii? Zgadzam się, że historia feminizmu przewijała się już w wielu naukowych pozycjach, jednak w założeniu Martyna chciała stworzyć grunt pod nieprzekonanych i zachęcający początkujących do dalszych poszukiwań. Tymczasem brak tak kluczowych terminów sprawia, że to wyjątkowo liche fundamenty. Zresztą ta książka jest niczym innym, jak chaotycznym opracowaniem badań – skąd w takim razie pomysł, by nie przytoczyć też najważniejszych zagadnień?

Porównałam wszystkie przypisy z większością znanych mi pozycji. Co się autorce zarzuca, a muszę sprostować: książka z całą pewnością nie jest całkowitą kalką „Niewidzialnych kobiet” Perez. Sprawdziłam teksty źródłowe; do tej publikacji odnosi się pięć przypisów i dodatkowo pokrywają się z nią tylko trzy, co nie jest niczym kontrowersyjnym – niby obie książki traktują o feminizmie i byłoby trudno sprawić, by źródła w nich zawarte nigdzie się nie powtórzyły. To, co jednak rani i szczypie, to łudzące podobieństwo – czy raczej podróbka - stylu. „Niewidzialne kobiety” są karabinem maszynowym informacji, przez co daleko im do lekkiej i przyjemnej lektury – z kolei Martyna pisze w sposób, próbujący połączyć wszystko naraz. Szybkość Perez, instagramową przystępność, przyjacielską prostotę. Wychodzi chimera z trzecim okiem, ośmioma nogami i Morawieckim, szczerzącym zęby z odwłoku.

„W konsekwencji mężczyźni i kobiety mogą być różnie traktowani z powodu tych samych zachowań seksualnych. Czy jest to złe? Tak. Czy jesteśmy potem przez ten pryzmat oceniane i wartościowane? Tak.” – s. 89, rozdział „Życie społeczne”

„Na przykład kiedy dygoczymy z zimna w biurach w temperaturze dostosowanej do męskiej normy albo nie możemy dościsnąć górnej półki ustawionej na wysokości zgodnej z normą wzrostu mężczyzny. Irytujące? Z pewnością. niesprawiedliwe? A jakże.” – „Niewidzialne kobiety”, Perez, rozdział „Na wstępie”

Nie przeszkadzają mi odniesienia do własnych przeżyć, które kłuły w oczy w wypuszczanych przedpremierowo fragmentach; nie tworzą one – jak mogło się wydawać - autobiografii, jedynie próbują nas

umocnić w prawdziwości przytaczanych statystyk i stanowią (dość nieudolne) przejścia pomiędzy tematami. Podobne zabiegi stosuje większość autorek – chociaż niezaprzeczalnie i wyraźnie brakuje jej polotu Agnieszki Graff czy Rebekki Solnit.

Martyna zabiera nas za to w wyjątkowo dziką podróż po Auchanie badań i Lidlu przemysłów, z godną pozazdroszczenia prędkością Kubicy wózków sklepowych, zadając przy tym całe mnóstwo pytań, co my o tym, i nie dając za bardzo przestrzeni na odpowiedź, co my faktycznie, bo już z półek o łechtaczce mkniemy na dział wypadków samochodowych. Jej język w książce jest dokładnie taki, jakim posługuje się na co dzień na swoim Instagramie, i o matko boska polszczyźniana, rozumiem, że to się perfekcyjnie sprawdza w krótkich formach w internecie. Naprawdę, łapię, ja już z tego pokolenia. Ale czyta się to tak źle, tak trudno! Mam wrażenie, że ktoś wydrukował profil na Insta i skoczył do intrologatora w przerwie na busa, ciamkając po drodze drożdżówkę z budy na dworcu.

Wielokropki. Wciskanie w przyciasny cudzystów wszelkich potocznych wyrażen. Krótkie, banalne zwroty, niezliczone powtórzenia i przywoływanie w kółko jednych maksym, powroty do tych samych tematów, bo się przypomniało, że jeszcze to i tamto, próba łączenia akademickich wynurzeń z typową dla sieci trywialnością języka i coś, od czego po trzecim razie można już dostać szału: „(...)”, dlatego dziś piszę tę książkę”; „dziś, kiedy piszę tę książkę, jest x lipca”; „piszę ten rozdział x czerwca”. Kiedy kończę tę recenzję, jest 31 grudnia i przez styl autorki mam ochotę wyrzucić ją przez okno z impetem, który zagłuszy huk petard i wybiję wszystkie wróble w okolicy.

„Prawda jest taka, że jeśli ktoś płacze, to znaczy, że ma ku temu powód. Kropka. Niezależnie od płci. Bo niezależnie od płci jesteśmy osobami emocjonalnymi i posiadamy kanaliki łzowe. (...) Strach nie ma płci. Złość nie ma płci. Smutek nie ma płci. Ból i żal nie mają płci.” – s. 42, rozdział „Dzieciństwo”

*„Jazda samochodem nie ma płci.
Płacz nie ma płci.
Bycie osobą wrażliwą nie ma płci.
Bycie silną, odważną osobą nie ma płci.
Kolory nie mają płci.” – s. 82, rozdział „Życie społeczne”*

A Ty? Po której „płci” rzucisz tą książką?

**„Język kształtuje rzeczywistość.”
s.81, rozdział „Życie społeczne”**

Z tym też mam problemy: z rzucanymi w przestrzeń тезami, które laikom mogą bezrefleksyjnie utknąć w pamięci. Na przykład z tą przytoczoną powyżej. Też lubię tak mówić i trzymam się hipotezy Sapira-Whorfa jak Szarik kielbasy, jednocześnie rozdarty pomiędzy nią a Jankiem Kosem, bo ta koncepcja ma swoich wrogów i swoje kontrowersje. Co wiadomo o relatywizmie czy determinizmie językowym na ten moment (według mojego stanu wiedzy), to to, że ta hipoteza nie zyskała swojego stu-procentowego potwierdzenia – niestety. Przytaczanie jej w ten banalny sposób bardzo sptyca problem i jest poniekąd symboliczne dla całej książki. Bo cała książka jest niczym więcej, jak właśnie sptycaniem szerokich problemów.

**„Reprezentacja jest ważna. Ale jaka reprezentacja? No nie chodzi mi tu o naszą narodową reprezentację piłki nożnej.” -
s.73, rozdział „Życie społeczne”**

Na wszystkie łzy Cristiano Ronaldo: kim w takim razie jest czytelnik_czka Martyny, że zasłużył_a na taki język? Ciekawym świata dzieciakiem, który razem z rodzicami ogląda przemówienia sejmu? Dorosłą kobietą, interesującą się zagadnieniami społecznymi? Mężczyzną twierdzącym, że Korwin masakruje Kazimierę Szczukę na drugie śniadanie, feministka to baba z wąsem, a najlepszą przedstawicielką polskiego feminizmu jest Anna Zawadzka? Nikt z wymienionych nie odnajdzie w niej tego, czego mógłby szukać. A ponoć to książka „dla każdego_ej” i sięgnąć po nią mogą nawet jedenastolatki. Może nie doceniam dzisiejszej młodzieży, ale konia z rzędem temu, kto postawi przede mną jedenastolatków, którzy z radością przebrnęli przez całość i jeszcze są w stanie mi coś o niej opowiedzieć. Bo owszem, płakałam w ich wieku za Nemeczkiem i płaczę również dzisiaj, ale na wzór i podobieństwo „Chłopców z Placu Broni” próbowaliśmy wtedy też żreć kit z okien. Dziś już bym się zawahała. Dlatego wychodzę z założenia, że dzieło stworzone dla wszystkich jest dziełem dla nikogo.

Na szczególną uwagę zasługuje rozdział „Zdrowie”, bo tu już jest wspomniana wcześniej jazda bez trzymanki, od której dostaje się choroby lokomocyjnej, poważnie, jedziemy po wyboistych drogach



źródło: <https://tenor.com/view/papie%C5%BC-papież-jp2-dosc-ob%C5%9B%C4%87-sift-21677605>

covidowych, skręcamy w prawa reprodukcyjne, pędzimy w kierunku orgazmu, żeby znikąd rozwalić sobie pysk o zaburzenia autystyczne. Zbieramy się jednak szybko i wsiadamy znowu, wpadając od razu w poślizg na, nomen omen, manekinach do testów zderzeniowych.

*„«W latach 70-tych XX wieku Shere Hite w swoim badaniu **The Hite Report on Female Sexuality** udowodniła, że 95 proc. badanych przez nią kobiet regularnie i z łatwością doświadcza orgazmu podczas masturbacji. Dwie trzecie z nich nie szczytuje jednak podczas tak zwanego ‘normalnego’ (czytaj: waginalnego) stosunku.»*

Wiesz, że dziewczynki otrzymują diagnozę dotyczącą spektrum zaburzeń autystycznych średnio o półtora roku później niż chłopcy?” - s. 143, rozdział „Zdrowie”

To autentyczny cytat, niczego nie pominęłam pomiędzy. Skąd to się wzięło, jak, dlaczego – nie wiem. Pozostaje mi jedynie przypuszczać, że ten rozpędzony do prędkości krytycznej i napchany do granic możliwości wózek nie miał żadnych hamulców w postaci dobrej redakcji (o czym świadczy też zresztą błąd kardynalny, literówki i błędy językowe). Zamiast tego wspomniany już entuzjizm i poklask publiki spełniły rolę hektolitrow WD-40, a skoki między tematami wygrałyby w cuglach Turniej Czterech Skoczni.

Trzy rozdziały są miłą odmianą od pozostałych – FAQ, SOS (z przytoczonymi numerami telefonów, gdzie szukać pomocy w kryzysowych sytuacjach) i „Finanse”. Ten ostatni wydaje się być wreszcie w miarę uporządkowany, skupiony na konkretach i stanowczo bardziej spokojny. Nie wiem, co o tym myśleć: czy przywiązano większą uwagę do końca książki, czy też może pod koniec entuzjizm nieco opadł, dając sobie wystarczający upust podczas pozostałych? Czy ja po prostu pozbyłam się oczekiwań?

„FeMYnim” mógł się udać. Mógł, gdyby zaproszona została pisarka, która w spójny sposób zagra mnogością informacji, uczesze rozwiane halnym myśli Martyny i kopnie w goleń, gdy galopujące przemyślenia zaczną uciekać za daleko, każąc im wrócić na miejsce. Zabrakło kompetencji, wiedzy i cennych wskazówek bardziej doświadczonych koleżanek lub kolegów, mogących skierować wszystko na właściwe tory. Najlepszą recenzją tej książki może być moja własna refleksja, gdy zbliżałam się do końca: „e, chwila, ale co tam właściwie było?”

Z poleceniem „FeMYnizmu” jest dwójako: trochę strach, że ta publikacja zniechęci do dalszego pogłębiania wiedzy, ale i nadzieja, że może ten miałki sposób przekazywania informacji stanie się dla kogoś wystarczający. Na przykład Otwarte Klatki robią kupę świetnej roboty z uświadamianiem osób o złych warunkach zwierząt hodowlanych, happeningi, marsze, reportaże, starają się od lat – tymczasem ja akurat przeszłam na wegetarianizm, bo obejrzałam „Babe, świnkę z klasą”. Dlatego uznając, że naiwny motyw jest lepszy niż żaden, mogę komuś tę książkę podrzucić i obserwować zza kanapy, czy czyta z zainteresowaniem – jednak mając świadomość, że istnieje mnóstwo bardziej wartościowych pozycji, wiem, że „FeMYnizm” po jednym rozdziale skończy raczej jako podstawka pod stolik.

Tym bardziej, że ta podróż rozpędzonym wózkiem pomiędzy działami różowych zabawek i wazektomii powinna mieć dużo wcześniej zaciągnięty ręczny. Bo feminizm, wbrew temu, co się próbuje równo ułożyć na półkach sklepowych i pomimo moich fascynujących marketowych metafor, właśnie nie jest produktem, i od tego należałoby zacząć. Ta książka nie znajdzie zbyt wielu zwolenników, bo kojarzona jest nadal z monetyzowaniem idei. Feminizm nie jest marynarką z ładną podszewką i nie powinien być naprędce złożoną z wyrwanych badań publikacją, bujającą się radośnie na fali świeżo rodzącej się świadomości społecznej. Nie powinien być czymś, co wyrasta z rybich ruchów i, choć żał mi to mówić, z dziecięcego entuzjazmu. Rósł latami dzięki wyrzeczeniom i oddaniu, więc spłykanie go do kilku drobnostek i kolorowych grafik, pomijanie najistotniejszych jego kwestii jest ściąganiem szarf z ramion sufrażystek. Lubię popfeminizm jak małe, urocze, puchate zwierzęta – ale w tej książce widzę go raczej jak coś szczerzącego kły z ignorancją, butą i najmojszą racją. Wszystko, co zostało w „FeMYnizmie” przytoczone, zasługiwało na lepszą oprawę z solidnego warsztatu i większego doświadczenia. To nie jest potwornie złe – jest po prostu fazą testową. Tak sobie to lubię tłumaczyć.

Martyna na początku książki zaznacza, że *„Nie popełnia błędów tylko ta, która niczego nie robi. A ja robię. Dużo. I popełniam błędy”*. Racja. Tylko że ważna jest nie ilość naszych działań, a idąca za nimi mądrość i właściwość podejmowanych decyzji. Cieszy mnie myśl, że kolejna pozycja powstanie we współpracy i bardzo chcę wierzyć, że to będzie ktoś, kto podzieli się z Martyną wiedzą i umiejętnościami organizacyjnymi.

Autorka podkreśla, że ciągle się uczy – mam w takim razie nadzieję, że odrobi lekcję i na następną przyjdzie już przygotowana. Tymczasem przeszło sześćdziesiąt złotych przeznaczenie na coś lepszego, na przykład, nie wiem, trzydzieści paczek Werther’s Original. Zapchają tak samo, zrobią równie mdło, życia nam też nie zmienią – a nie będzie żal. I nie zostawią ani niesmaku, ani goryczy na języku.

